Gombromania po niemiecku

Jolanta Łada-Zielke *(Hamburg)*

Rüdiger Fuchs podczas spotkania autorskiego w 2018 roku, fot. Reiner Mnich.

Pojęcie „Gombroman”, może oznaczać zarówno maniakalnego wielbiciela twórczości Witolda Gombrowicza, jak i powieść o nim (niem. Roman). Owym wielbicielem okazał się niemiecki pisarz Rüdiger Fuchs, który wyraził swoje uznanie dla polskiego kolegi w formie literackiej. W rezultacie powstała powieść poszukiwawcza, nie tylko jeśli chodzi o ślady Gombrowicza, ale i wspólne cechy stylu pisania oraz eksperymentalne zabawy z formą i treścią. Mamy tam wątek podróżny, erotyczny, sensacyjny, „powieść w powieści”, powieść filozoficzną i epistolarną. Obok postaci autentycznych występują fikcyjne. A wszystko kręci się wokół Gombrowicza.

Rüdiger Fuchs podróżuje po miejscach związanych z pisarzem, nazywając je Gombro-Orte. Odwiedza Warszawę, Gdańsk, skąd twórca odpłynął z Polski na zawsze oraz Berlin Zachodni, gdzie przebywał na stypendium, podczas gdy w Polsce trwała nagonka przeciw niemu, rozpętana przez komunistyczne władze. Jada w tych samych restauracjach, pija kawę w tych samych kawiarniach co jego idol, buszuje w polskich i zagranicznych księgarniach i antykwariatach w poszukiwaniu jego utworów. Za najcenniejsze uważa znalezione na You Tube nagranie „Dzienników" oraz wywiadu z Gombrowiczem w języku francuskim, jakiego udzielił rozgłośni Radia Wolna Europa po otrzymaniu Międzynarodowej Nagrody Wydawców Prix Formentor (1967). Widząc, jak zawrotne ceny osiągają dzieła Gombrowicza w internecie, komentuje to jako „Ferdyschurke" (Ferdy-łajdactwo) i „Unfair-dydurke". Nabywa argentyńskie wydanie „Ślubu" (El Casamiento) z autografem pisarza za 140 euro, a jakiś czas później widzi taki sam egzemplarz na jednej ze stron amerykańskich za 1419 euro. Cieszy go widok plakatów teatralnych z dramatami Gombrowicza w Sofii, Nicei, Bazylei i we Freiburgu. W Rostoku, rodzinnym mieście Fuchsa, nie wystawiano dotąd sztuk Gombrowicza, zresztą do 1990 r. było to niemożliwe. W NRD wydano tylko drukiem „Ferdydurke" w 1984 r. i „Trans-Atlantyk" w 1988 r.

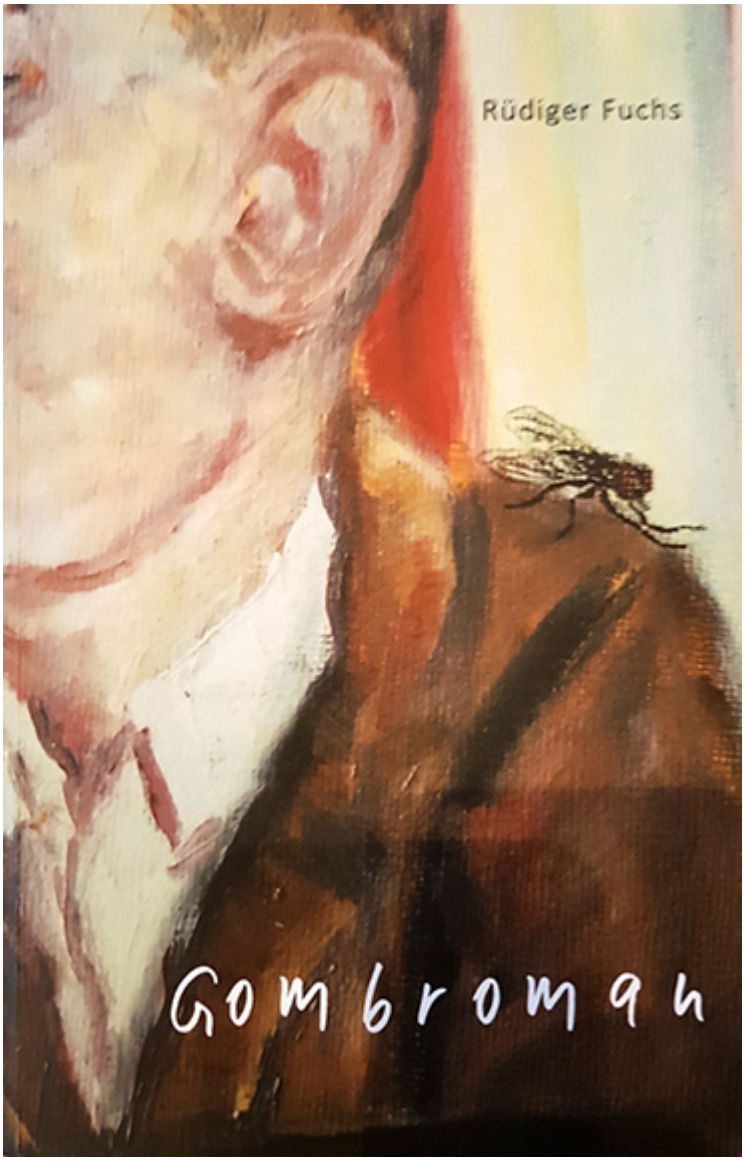

Okładka książki

Przebywając w Vence, gdzie polski pisarz zakończył życie, Fuchs nie tylko odwiedza jego grób na cmentarzu. Prosi przypadkowo spotkane osoby o wypełnienie sformułowanej przez siebie ankiety na temat znajomości twórczości Gombrowicza. Efekty są zaskakujące; niektórzy nie słyszeli o nim wcale, inni owszem, przyznają, że taki pisarz mieszkał tu, był chory i zmarł. Zdarzają się jednak tacy, którzy dokładnie wiedzą, o kogo chodzi. W książce wspomniane są też opinie innych niemieckich pisarzy o Gombrowiczu, np. Güntherowi Grassowi podobało się „Ferdydurke".

Fuchs umiejscawia swoją wędrówkę śladami artysty na tle bieżących wydarzeń społeczno-politycznych. Wspomina o pomyśle ministra Giertycha, który chciał usunąć dzieła Gombrowicza z kanonu lektur szkolnych jako antywychowawcze, o pamiętnych Mistrzostwach Europy w piłce nożnej 2008, kiedy Łukasz Podolski

strzelił nam dwie bramki, o odbiorze filmu „Katyń” Andrzeja Wajdy przez polską i niemiecką publiczność, pisze też o katastrofie smoleńskiej 2010. Zwraca uwagę, że rok wejścia Polski do UE (2004), był także rokiem Gombrowicza.

Witold Gombrowicz wyśmiewał bez skrupułów niektóre nasze wady narodowe. Rüdiger Fuchs pokazuje w krzywym zwierciadle pewne przejawy stereotypowego myślenia Niemców o Polakach, którzy nadal często widzą w nas złodziei samochodów. Porównuje stosunek do miłości ojczyzny w wydaniu obu nacji. W Niemczech uchodzi za podejrzane kochać swój kraj i otwarcie przyznawać się do tego; w Polsce podejrzane jest nie kochać własnego kraju.

Opis wędrówki po śladach Gombrowicza przeplata się z fragmentami fikcyjnej powieści o naukowcu Goldbachu, entomologu zajmującemu się badaniem funkcji życiowych much, który próbuje zrozumieć i zapisać język tych owadów. Związek ten nie jest przypadkowy, bo mucha pojawia się w twórczości Gombrowicza stosunkowo często. Dodajmy, że Goldbach też jest zafascynowany autorem „Ferdydurke”.

Znane z „Ferdydurke” symbole, takie jak „gęba”, czy „pupa” są łatwe do przetłumaczenia na niemiecki, z innymi pojęciami Rüdiger Fuchs też nie ma większych problemów. „Pojedynek na miny” to „Grimassenwettstreit”, a „przymus formy” – „Zwang zur Form”. W niektórych polskich słowach dają się zauważyć literówki. Autor konsekwentnie pisze „Marzałkowska” zamiast „Marszałkowska”, albo używa litery **i** zamiast **j** np. w słowie „wygraj”. Ale i tak należy mu się podziw za to, że opanował nasz język. Próbuje też analizować etymologiczne pochodzenie nazwiska „Gombrowicz”.

Rüdiger Fuchs podczas spotkania autorskiego w 2018 roku, fot. Reiner Mnich.

Lektura książki nie należy do najłatwiejszych. Niektóre fragmenty czyta się szybko i z rozbawieniem, przy innych trzeba się skupić. Autor przyznaje, że powieść można czytać zarówno od początku do końca, jak i na wyrywki. „Gombroman" na pewno nie jest książką dla wszystkich, ale niekoniecznie tylko dla filologów. Wystarczy dobra znajomość twórczości Gombrowicza i języka niemieckiego, a lektura powieści dostarczy wielu ciekawych wrażeń. Książka ukazała się nakładem wydawnictwa „Charlatan" w Rostoku. Tam wydawane są także zeszyty literackie „Gombrowicz-Blätter". Można zapoznać się z ich treścią także online na stronie:

www.gombrowicz-blaetter.eu

Z okazji przypadającej w tym roku 50-tej rocznicy śmierci pisarza, wielbiciele jego twórczości organizują spotkanie we Fryburgu Szwajcarskim, które odbędzie się 18 października 2019 o godz. 18:30 w tamtejszej Bibliotece Kantońskiej. Gospodarzem wieczoru będzie niemiecki slawista, germanista i

tłumacz literacki profesor Rolf Fieguth, któremu zawdzięczamy niemieckojęzyczną wersję „Trans-Atlantyku”, a w gronie prelegentów znajdzie się m. in. Rüdiger Fuchs. Spodziewany jest także przyjazd Rity Gombrowicz.

Leszek Szymanski: Wspomnienia bez mundurka .

Anna Habryn *(Perth, Australia)*

W zalewającej rynek powodzi literatury „wspomnieniowej” książka Leszka Szymańskiego „Wspomnienia bez mundurka (zaraz po wojnie)” nie utonie niezauważona. Po pierwsze z powodu osoby autora, a po drugie z powodu tematu.

Autor sam o sobie pisze tak:

> *„Karierę” literacką zaczynałem chyba mając 12/14 lat humoreskami w „Świecie Młodych”, płacono mi honoraria a nawet miałem autentyczną legitymację prasową, z czego byłem bardzo dumny. Następne [drukowałem] humoreski w „Musze” i „Szpilkach” gdzie wróżono mi karierę, ale spoważniałem, zwłaszcza, gdy założyłem grupę literacką „współczesność” i Pismo tej nazwy; jedyne niezależne i prywatne Pismo, w całej Europie Wschodniej, dzięki wrzeniu rewolucyjnemu PAŻDZIERNIKA 1956! „Przełom”, a raczej wyrwa w Literaturze SOC-REALIZMU.*

Ciekawostką jest, że widoczne w powyższym cytacie nieposzanowanie dla zasad ortografii i interpunkcji stało się wizytówką owej „współczesności” – i do dzisiaj

Szymański upiera się przy zachowaniu tej interpunkcyjnej anarchii w swoich „Wspomnieniach”, co – nawiasem mówiąc – nie ułatwia czytania tej powieści.

Szymański (który obchodzi w tym roku 86 urodziny) jest postacią legendarną, gdyż najpierw zapisał się w historii polskiej literatury jako założyciel i redaktor „Współczesności”, a potem zniknął z polskiego horyzontu kulturalnego na długie lata, zakazany przez polską cenzurę, chociaż jego opowiadanie o Mickiewiczu „Rogowy Guzik”, nagrodzone na konkursie Związku Literatów Polskich, przez lata utrzymywało się w wypisach szkolnych.

Nie wiem, czy „Wspomnienia bez mundurka” wejdą do kanonu lektur szkolnych, jak Szymańskiemu życzliwie życzą recenzenci jego książki, ale na pewno nie pozostaną niezauważone. Coraz nowe recenzje z książki ukazują się w pismach polonijnych w Ameryce, Europie i Australii. Bo Szymański jest znany na trzech kontynentach. Na emigracji został pisarzem „polonijnym”, choć pisze w dwóch językach.

W „Wiadomościach Polskich” w Sydney drukowano w odcinkach jego powieść „Żywot codzienny państwa Wiśniewskich”, jego druga powieść australijska „Narzeczone” była drukowana w londyńskiej „Kronice”, a także w „Gwieździe Polarnej” w USA. Napisana po angielsku „Escape to the Tropics” była „książką tygodnia” gazety „Daily Telegraph”.

Cambridge Companion to Australian Literature odnotowuje go jako pisarza australijskiego, ale jego nazwisko można spotkać także w źródłowych publikacjach amerykańskich. Pasją Szymańskiego jest historia – i dociekanie prawdy historycznej.

W USA wyszła drukiem jego książka „Warsaw Aflame” uczciwe przedstawienie okupacji i stosunków polsko-żydowskich. Jego przełomowa praca „Kazimierz Pulaski in America”, oparta na dokumentach, rozeszła się w pięciu tysiącach egzemplarzy i nawet przyniosła autorowi skromne honorarium! Jest też autorem opracowania z zakresu politologii: „Days of Solidarity”.

Co do tematu wspomnień bez mundurka…

Autor wyznaje:

> *„Mundurka” bym nie napisał, gdyby nie wystawa graficzna „Tajnych gier*

politycznych w gimnazjum Batorego", urządzona przez syna Bohdana Slezkina, Michała. Michał zamówił u mnie artykuł o naszych „nielegalnych" zabawach politycznych w latach powojennych. Po przeczytaniu tego Regina Gorzkowska, znana dziennikarka polonijna z Filadelfii, zasugerowała mi napisanie wspomnień sztubackich i tak powstała powieść „Wspomnienia bez mundurka (zaraz po wojnie)".

O tych „grach politycznych" w książce jest kilka wzmianek, ale tylko wzmianek. Wiemy, że trójka kolegów rządziła wtedy trzema stworzonymi przez siebie „państwami", które miały własne armie, mundury, flagi i – zdaje się – systemy społeczne i wielka szkoda, że autor nie opisał tych „państw" dokładniej. Powiedziałoby nam to więcej o bohaterach tych wspomnień.

Sam autor widzi „Wspomnienia bez mundurka" jako paralelę do klasycznego dzieła tego gatunku, „Wspomnień niebieskiego mundurka" Gomulickiego.

Szymański mówił w którymś wywiadzie:

Różnica jest paradoksalnie podobieństwem. Gomulicki pokazuje ostatnie lata polskiej szkoły, przed bezwzględną rusyfikacją jaka nastała po upadku Powstania Styczniowego. Jest to więc koniec ery w historii Polski, gdy wraz z resztkami swobód Królestwa Kongresowego zniknęła nawet nasza nazwa i Polska stała się Priwislianskim Krajem.

Akcja „bez mundurka" toczy się w pierwszych latach Polski powojennej pod sowieckim zaborem. Jest to nowy okres naszych dziejów (…), ale to więcej niż koniec etapu naszej historii; bo finał całej epoki światowej historii.

Są to pierwsze miesiące po wojnie.

Jest we „Wspomnieniach bez mundurka" obraz Warszawy dźwigającej się z ruin, obraz odradzającego się życia. Bodaj najciekawsze fragmenty książki dotyczą właśnie życia bynajmniej nie tych młodych ludzi, z których wyrosła dziesięć lat później polska literacka „Współczesność", ale tych wiechowskich charakterów z ulicy. W epizodach z codziennego życia ujawnia się pisarski pazur Szymańskiego i

jego poczucie humoru.

Własna biografia, dzieciństwo i młodość, oglądane z perspektywy 70 lat, przypominają stare zdjęcia: nieco wyblakle, budzą niedosyt i pytania o to, co zostało poza kadrem i zamazało się w pamięci. Pewne epizody są wyraziste i barwne, inne wyraźnie czerpane z opowiadań innych ludzi.

Tak właśnie, z epizodów, zbudowane są „Wspomnienia bez mundurka", historia pierwszego powojennego rocznika uczniów słynnego warszawskiego Gimnazjum im. Stefana Batorego.

Budynek renomowanej przed wojną szkoły jest na wpół zburzony, ale napływają uczniowie i zaczyna się pierwszy po wojnie rok normalnej nauki.

Uczniowie są inni niż przed wojną: młodsi i starsi, ofiary okupacyjnych cierpień, jeden szedł z wojskiem aż z Syberii, inny przeżył obóz koncentracyjny, podrostki z partyzantki bawią się bronią pod ławką szkolną… Po traumatycznych przeżyciach noszą blizny, fizyczne i psychiczne. A razem z nimi uczą się normalne, błaznujące dzieciaki, w których psotach odbija się okrucieństwo świata dorosłych. Na przykład obraz Kulki siedzącego na minie w szkolnej piwnicy, czy scena uczniowskiego „sądu" nad tymże nieznośnym Kulką, może czytelnika przyprawić o dreszcz grozy, mimo że Szymański posługuje się humorystycznym stylem narracji żywo przypominającym dobrotliwe humoreski Kornela Makuszyńskiego, który był zresztą jego ulubioną lekturą w tamtych, sztubackich czasach.

Szymański porównując swoją książkę do Gomulickiego pisze:

> *Tamci chłopcy wydają się być w porównaniu z warszawską klasą 1945 pustogłowymi brzdącami z przedszkola. (…) Dzieciństwo tych Batoraków nie zniknęło, ale zmieniło ciężar gatunkowy.*

Wspomnienia Szymańskiego trudno zaliczyć do jakiegokolwiek ustalonego gatunku literackiego. Bo nie jest to klasyczna literatura faktu. Powieść na motywach? Zbyt wierna historii. I jaka to powieść? Raczej nie klasycznie autobiograficzna. Ma luźną, epizodyczną konstrukcję i zdaje się nie trzymać ściśle chronologii wydarzeń, co zresztą zrozumiałe, po takim czasie! Sylwetki bohaterów rysowane są bardzo grubą

kreską, właściwą karykaturze, bo są to właśnie „sylwetki”, a nie portrety – i dotyczy to też głównego bohatera, Felcia czyli Fonsia.

Owszem, ta książka to portret, ale ani szkoły, ani autoportret autora. To raczej przyczynek do portretu pewnego pokolenia, dorastającego w bardzo dziwnej historycznej sytuacji, między jedną „epoką” a drugą, między Polską sanacyjną a „Ludową”, w świecie po katastrofie, gdzie zasady społecznego życia jeszcze nie zostały na nowo ustalone i nikt do końca nie wie, jak będzie wyglądał ten nowy ustrój społeczny, w którym przyjdzie żyć.

I oto jest przyczyna, dla której ta książka jest ważna. Szymański opisuje wyrastanie pokolenia, które zbudowało Polskę Ludową, ze wszystkimi jej dziwnościami, sprzecznościami i żarzącym się wiecznie konfliktem politycznym. Sam autor miał tę świadomość, skoro uznał za konieczne dodać książce Epilog, w którym szkicuje dalsze losy swoich kolegów ze szkoły i znajomych z podwórka, takich, którzy zrobili karierę mniejszą i większą, znaleźli swoje miejsce w PRL-u lub wyemigrowali. Ten Epilog, zawierający klucz do odszyfrowania autentycznych postaci i znanych nazwisk, jest tak smakowity, że chciałoby się go tu zacytować w całości, przytoczę więc przynajmniej kilka fragmentów:

> *Moniek gazeciarz ukończył jakieś zawodowe kursy na Uniwersytecie Wrocławskim, następnie pracował w RSW Prasa i ostatecznie wydawał rozmaite pisma. (…) Strzemień skończył ze wspaniałym wynikiem kurs prokuratorski i został jednym z czołowych oskarżycieli w Polsce Ludowej (…) Kulka niespodziewanie znalazł się w cieniu Jerzego Makuszewskiego, który stał się znanym autorem antyrządowych piosenek satyrycznych (…) Kulka zachował dużo złośliwości, ale wyładowywał ją w utworach satyrycznych, które miały stały zbyt w rozmaitych teatrzykach (…) Sztrumpf został redaktorem codziennej gazety, a Krzysio Cieplic czołowym publicystą PRL-u, podczas gdy Andrzej Dobosz reprezentował opozycję. (…) Słonimski, klasowy „Słoń” nie zrobił kariery partyjnej, ale został zawiadowcą na jednej z podmiejskich stacji. (…) Ryszard Rybacki, szermierz w palcatach niezrównany, pracował w biurze szyfrów i doszedł do wysokiej rangi. Zdzisio Pietrzak został kierownikiem szkoły w Suwałkach. Orcio cudowne dziecko Rosłanowski zrobił karierę polityczną. (…) Roman Sliwonikowski zdobył laury poetyckie najwyższej rangi stając się jednym z czołowych polskich*

poetów. (…) Kwiryn został znanym autorem doskonałych i oryginalnych powieści kryminalnych. (…) Śledź mimo ogromnego talentu nie został przodującym karykaturzystą. Między innymi w karierze przeszkodził mu areszt i więzienie. Wraz z Ociepką, Rossmanem, Nowakowskim stworzył nielegalną organizację. Między rozmaitymi dowodami winy jak amerykańskie magazyny i komiksy i butelka po coca-coli, były przede wszystkim pisma z Odrobinii, Zjednoczonych Stanów Republikańskich i Niam-niamu. Słusznie Cieplic nakazywał je zniszczyć. Śledź wyszedł na wolność z amnestii ogłoszonej przed 1956, tak jak harcmistrz Wójcik. Otworzył własną firmę dekoracyjną. Specjalnością były (…) murale – gigantyczne malowidła ścienne. Interes szedł dość dobrze, ale mógłby lepiej, gdyż Śledź odmawiał wykonywania akcentów politycznych (…) Śledź także rysował i malował lilipucie postacie rozmaitych wojskowych w mundurach epoki (…) potrafił pogodzić przeciwności, choć nie polityczne, będąc twórcą miniatur i gigantycznych malowideł.

Felcio zostawił obiecującą karierę literacką w Polsce uzyskując azyl polityczny zagranicą, stał się anglojęzycznym pisarzem i historykiem. Cenionym, lecz nie finansowo.

Jeśli kiedyś dożyjemy czasów, kiedy historią przestanie się manipulować dla doraźnych celów politycznych, historyk z prawdziwego zdarzenia nie będzie mógł pominąć „Wspomnień bez mundurka” jako źródła wiedzy o trudnej młodości pokolenia „post-Kolumbów”. Jest to bardzo cenny przyczynek do portretu całej generacji polskiej inteligencji powojennej.

Zapytany o plany na przyszłość Leszek Szymański zapowiada książkę o Pawle E. Strzeleckim:

Pracuję ciągle nad Strzeleckim. I to jest po angielsku, dostosowane do odbioru przez anglosaskiego czytelnika. Tak, że moja dalsza pisanina będzie zależeć od tematyki i odbiorcy.

Biorąc pod uwagę bezkompromisowość Szymańskiego i jego odwagę sprzeciwiania się ustalonym mitom (widoczną też i w „Mundurku”), czekam na jego książkę o

Strzeleckim z wielką ciekawością.

A. Habryn ©2019

.

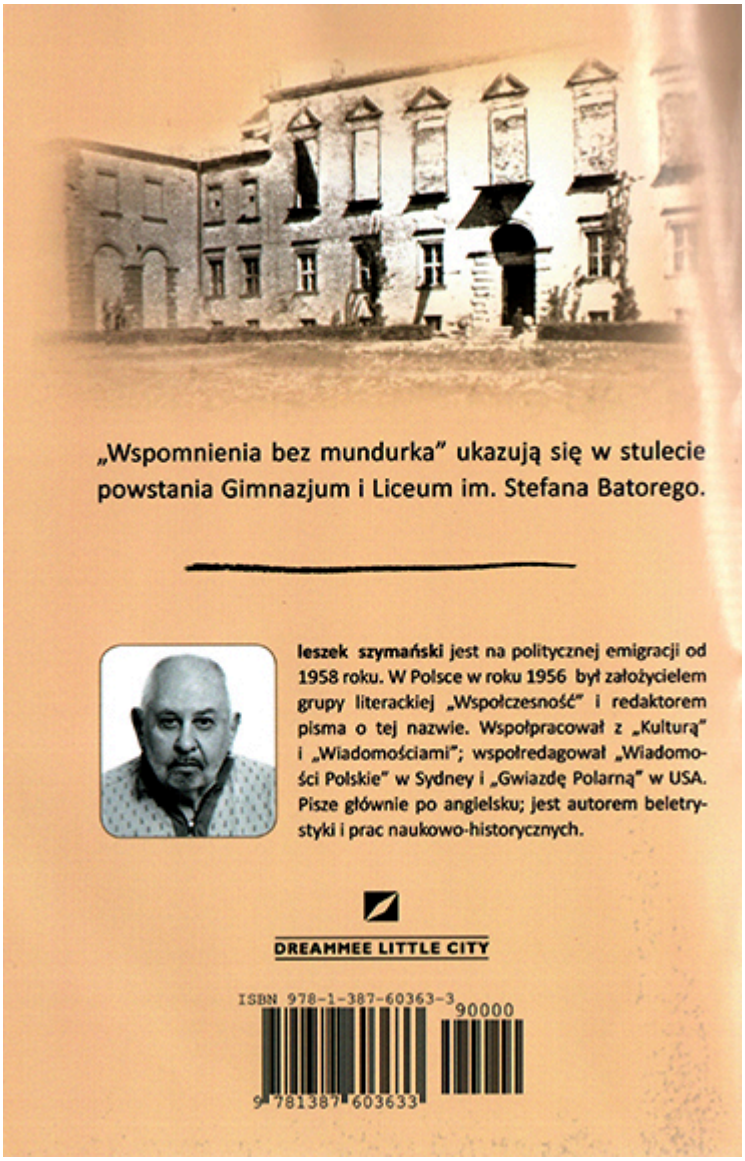

„Wspomnienia bez mundurka" ukazują się w stulecie powstania Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego.

leszek szymański jest na politycznej emigracji od 1958 roku. W Polsce w roku 1956 był założycielem grupy literackiej „Współczesność" i redaktorem pisma o tej nazwie. Współpracował z „Kulturą" i „Wiadomościami"; współredagował „Wiadomości Polskie" w Sydney i „Gwiazdę Polarną" w USA. Pisze głównie po angielsku; jest autorem beletrystyki i prac naukowo-historycznych.

DREAMMEE LITTLE CITY

ISBN 978-1-387-60363-3
90000
9 781387 603633

Opowieści ze starej chałupy

Dom w Osieku, ok. 1979 r.

Zdzisław Antolski

Książka Sylwii Kokot-Martin pt. „Potrawka z surojadki” to świetnie napisana opowieść z życia polskiej rodziny w latach 70. i 80. Zawiera prawdziwy obraz ówczesnej polskiej rzeczywistości, z jej biedą, powszechnym oglądaniem telewizji, gdzie przebojami dziecięcymi były wieczorynki, wakacyjne „Teleferie” i serial „Czterej pancerni i pies”. Nie ulega wątpliwości, że opowieść ma charakter biograficzny, a jej narratorka i główna bohaterka Flawia to pseudonim autorki. Bohaterka czyta powieść Astrid Lindgren „Dzieci z Bullerbyn” i trudno nie oprzeć się wrażeniu, że jej książka nosi pewne cechy powieści noblistki. Jednakże „Potrawka z surojadki” nie przedstawia baśniowej legendy, jest aż do bólu realistyczna i nie unika spraw przykrych i drażliwych, jakie występują w każdej rodzinie.

Opisując fotografię swojej rodziny, Flawia pisze:

Na jednej fotografii, lekko niedoświetlonej, nasza rodzina. Stoimy zwróceni twarzami do obiektywu, w spodniach „dzwonach”, szerszych niż zwykle, bo rozpłaszczonych wiejącym na nas południowym wiatrem. W grubych czapkach, zimowych kurtkach i płaszczach, z baziami w rękach, na bulwarze nad rzeką, w centrum miasta. Ojciec w bokobrodach dzwoniastych jak spodnie, matka z lisem wokół szyi. Szymon z dołeczkiem w brodzie, Ala z grzywką, a Berenika z głową przechyloną lekko na bok. Ja na zdjęciu stałam na boczność. Z jasnymi kitkami, wystającymi po bokach spod czapki, rozwianymi na wietrze razem z długimi końcówkami kołnierza przy kurtce z królika.

Metaforyczny, a zarazem żartobliwy tytuł „Potrawka z surojadki” wyjaśnia rodzinna dyskusja, kiedy to ojciec, dyskutując z najmłodszą córką, Bereniką, stwierdza:

No to bycie dorosłym to jak wyprawa na grzyby. Chciałabyś znaleźć tylko jadalne i to te najlepsze.

– Czarne łebki?

– Tak, czarne łebki… i borowiki… i maślaki…

– A im dalej w las, tym coraz więcej surojadek i muchomorów – palnął wujek Czesio.

– Świnto prawdo! – przytaknął dziadek.

Uparty zamek puścił. Mała stała obuta.

– No właśnie… Alu, teraz ty. Siadaj tu, kochana. Podaj nogę…

– I co w tym lesie? – Berenika popędza ojca.

– I idziesz, patrzysz, że rosną nie te grzyby, jakie sobie wyobrażałaś tam znaleźć. I teraz, z tego co jest, musisz wybrać taki grzyb, żeby się po nim nie rozchorować albo nie otruć.

– Który byś wybrała? Surojadkę, olszówkę, czy muchomora? – wujek Czesio znów się zaśmiał, ale Berenika odpowiedziała mu całkiem poważnie:

– Surojadkę.

– Brawo! Posypały się oklaski.

– Jużech godo jak dorosła! – zauważył dziadek i Berenika zaczęła wręcz pęcznieć z dumy.

– I co zrobimy z tej surojadki, tatusiu?

– Czy ja wiem… jakąś potrawkę… (…)

I tak powstała świetna „potrawka", czyli powieść Sylwii Kokot-Martin.

Rodzina mieszkająca w bloku, w mieszkaniu M-5, nie należała do przeciętnych, głównie za sprawą ojca, artysty fotografika, człowieka o nieprzeciętnej wyobraźni i energii, trochę ekscentryka, oryginała i dziwaka, a przy tym zapalonego grzybiarza. Jest przy tym bardzo przyjacielsko nastawiony do otoczenia, ma cechy tzw. „duszy towarzystwa" i wzbudza w otoczeniu sympatię do swojej osoby. Całe jego życie i działalność były jedną improwizacją i przygodą. Tylko żona, osoba systematyczna, zdrowo myśląca, usiłowała jakoś okiełznać wybujałą aktywność męża. W dodatku żona jest głęboko i autentycznie wierząca, przez co dzieci, wchodząc do domu, mówią „Niech będzie pochwalony". Rodzina mieszka w Toruniu, jak dowiedziałem się z rozmowy z Autorką, choć nazwa miasta nie pada w powieści.

Podczas wyprawy na grzyby, powieściowy ojciec, Rafał Koguczak, odkrył w lesie glinianą chatę, którą się zachwycił i nabył ją wraz z dziesięcioma arami ziemi. Musiał wcześniej ukończyć specjalny kurs rolniczy, zgodnie z ówczesnymi przepisami, aby stać się właścicielem chaty i kawałka ziemi. Najtrudniej chyba było przekonać Koguczakowi do tej inwestycji własną żonę, ale ona, mimo twardego charakteru, ulegała jego fantazjom, zwłaszcza że nowy właściciel gospodarstwa zamierzał osiągać z niego dochody, np. hodując jedwabniki. Ta letnia siedziba z „daczy" przeistoczyła się w „skansen". Rafał Koguczak zbierał bowiem w okolicy przeróżne zabytkowe przedmioty: podarowane lub znalezione narzędzia rolnicze, wykopane na

swoim podwórku zamierzchłe naczynia gliniane itp. Wkrótce urzędowo, oficjalnie przybrało, zgodnie z duchem czasu, nazwę „Izby Regionalnej” inne domostwo we wsi, z którego pan Rafał utworzył muzeum. Część przedmiotów przywiózł do niego po prostu z miejskiego bloku w tajemnicy przed żoną i przedstawił jako zabytkowe eksponaty. Na uroczyste otwarcie zaprosił lokalne władze i mnóstwo znajomych. Impreza udała się znakomicie, przybyło na nią wielu dostojników i znajomych artystów z miasta, a także miejscowi oficjele.

Gliniana chata nie tylko miała umożliwiać dostęp do kultury lokalnej. Miała także być źródłem zarobku poprzez hodowlę jedwabników, co było kolejnym pomysłem pana Rafała. Niestety, nikt się nie spodziewał, że mimo dużej pracy włożonej w hodowlę, skończy się ona całkowitą klapą.

Większa część książki poświęcona jest dziecięcym przygodom właśnie w wiejskiej chacie, gdzie nie ma prądu ani kanalizacji, a drewniany wychodek jest dla dzieci koszmarem z powodu brudu, much i pająków. Wolą więc załatwiać swoje potrzeby w lesie, co spotyka się z krytyką ich ojca, który niechcący wdepnął w dziecięcą „minę”.

Dzieciństwo Autorki przedstawia epokę zabaw w kapsle, które udawały kolarzy, a poruszane były po wyznaczonych na ziemi trasach, za pomocą pstryknięć palcem. Pamiętam, że sam nieraz potykałem się o gromadki dzieci pod moim blokiem, które, kucając, pstrykały w swoje kapsle udające zawodników kolarskich, spośród których największym powodzeniem cieszył się Szurkowski i Szozda. Oprócz tego dzieci bawią się w popularne wówczas gry „w państwo” i „w noża”. Ja również uprawiałem te gry, choć moje dzieciństwo przypadło na lata 50. i 60.

Akcja opowieści rozpoczyna się, kiedy Flawia, narratorka i główna bohaterka opowieści idzie do pierwszej komunii. W prezencie otrzymała rower-składak, niestety, pojazd był potrzebny tatusiowi do wyjazdów na wieś i w efekcie stał się „rowerem tatusia”. Trzeba przyznać, że ojciec tak był zapatrzony w siebie i swoje potrzeby, że czasem wykorzystywał dzieci, np. wysyłając Flawię do odległego sklepu, synowi każąc rąbać drewno, gdy sam poszedł spać. Kiedy mógł wybrać, czy kupić dzieciom gumę do żucia czy serek topiony, to oczywiście wybierał serek. Chociaż nigdy dzieci nie rozpieszczał, nie umniejsza to faktu, że je kochał. One zaś były w niego wpatrzone jak w bóstwo.

Mama bohaterki również okazywała miłość na swoje sposoby, a była kobietą bardzo surowo wychowującą dzieci. Raz, przy ognisku, podczas biesiady z gośćmi zakrapianej alkoholem, na uwagę, że jej córka jest drobniutka, ściągnęła jej dół piżamy, dała klapsa i oświadczyła w obronie dziecka: – Dupsko ma jak trza! Podpici goście rechotali ubawieni, ale dla dziewczynki był to szok i upokorzenie. Takie to jednak były czasy, że nie dbano zbytnio o godność i wrażliwość dzieci. Chociaż przecież państwo Koguczakowie kochali je i dbali o ich potrzeby, trudne warunki życiowe i troska o podstawowe potrzeby materialne sprawiały, że mniej dbano o sferę duchową w wychowaniu potomstwa. Mimo to matka Flawii okazała także wiele hartu ducha, wstępując do Solidarności, i sprzeciwiając się opresyjnemu totalitarnemu reżimowi komunistycznemu. W efekcie swojej działalności została internowana, co było prawdziwą tragedią, zarówno dla jej męża, jak i czwórki dzieci. Podczas Świąt Bożego Narodzenia odwiedził ich ksiądz biskup:

> *Odmówiliśmy „Ojcze nasz" w intencji matki, całej rodziny, wszystkich internowanych i w intencji ojczyzny. Kiedy rozdano po świętym obrazku i goście wyszli, uciekłam wyryczeć się w poduszkę.*

Powieść napisana jest bardzo żywo, czyta się ją znakomicie, z niesłabnącym zainteresowaniem. Mnóstwo w niej dialogów, które oddają charakter występujących postaci. Autorka nikogo nie ocenia, nie chwali ani nie krytykuje, przedstawia życie takim, jakim było. Akcja rozgrywa się w miejskim bloku i na wsi, choć opowieści z chaty są znacznie barwniejsze.

Flawia jest narratorką, książka jest również jej quasi pamiętnikiem. To bardzo spostrzegawcza i wrażliwa dziewczynka, nie pozbawiona dziecięcych marzeń i fantazji. Ma niesamowitą pamięć do szczegółu, do dialogu i wydarzeń. Powieść Kokot-Martin to gotowy scenariusz filmu fabularnego, gdzie znajdziemy nie tylko barwne i prawdziwe postacie, ale każdy szczegół ubioru i wyposażenia domu w mieście oraz w „chałupie". Świetnie opisany jest także pejzaż wiejski, wszystkie owady i zwierzęta.

Bohaterka, bardzo wrażliwa, boleśnie przeżywa śmierć ulubionego psa o imieniu Sandra, który zdechł na skutek nieszczęśliwego wypadku. Autorka pisze o swoim przyjacielu:

Kochałam ją, mimo że zawsze wolała ojca, lecz rozumiałam jej preferencje. To on ją ocalił, upalikowananą bez wody i jedzenia na środku czyjegoś podwórza. Prawie zdychała, gdy ojciec odebrał ją właścicielowi za litr gorzałki.

W połowie wyżeł, w połowie kundel, Sandra była najpiękniejszym czarnym psem z lśniącą sierścią, jakiego widziałam. Mądra, nie szczekająca bez potrzeby. Bardzo cierpliwa…

„Potrawka z surojadki" dostarczyła mi wielu wzruszeń, zarówno tych pogodnych i wesołych, jak i smutnych i tragicznych. Jest ona kwintesencją dzieciństwa w solidarnościowym okresie PRL-u. Zawiera mnóstwo obserwacji obyczajowych i jest skarbnicą wiedzy o psychice dziecka. Napisana naprawdę po mistrzowsku, świetnie przemyślana i skomponowana. Przedstawia także historię małżeństwa, które mimo skrajnie różnych charakterów, tworzy kochającą się i funkcjonującą rodzinę.

Mówi się, że dzieciństwo to zaczarowana kraina. I rzeczywiście, widoczne to jest w powieści Sylwii Kokot-Martin. Jej bohaterkę, Flawię, cechuje podziw dla przyrody, świeżość uczuć, miłość do rodziców i rodzeństwa. Współczucie dla cierpiących ludzi i zwierząt. No i nieustający zachwyt nad światem. A także wiara w dobroć i uśmiech losu, chęć życia i poszukiwanie szczęścia oraz wiara w gwiazdora, który jest ważną postacią dzieciństwa Flawii.

Chociaż powieść jest na wskroś realistyczna, a słabości ludzkie bezlitośnie obnażone przez bystre oko dziecka, zawiera jednak silne tło uczuciowe. Dlatego odkładamy książkę z żalem, że już się skończyła i mamy chęć wrócić do przeszłości, także do własnego dzieciństwa.

Sylwia Kokot-Martin, „Potrawka z surojadki", Orlando 2018, ss. 373.

http://www.lulu.com/shop/http://www.lulu.com/shop/sylwia-kokot-martin/potrawka-z-surojadki/paperback/product-24079159.html

Pojemna delta

Florian Śmieja przez Szkołą Podstawową w Kończycach, do której uczęszczał.

Edward Zyman *(Toronto)*

Florian Śmieja, nestor polskich poetów w Kanadzie, tłumacz i badacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, emerytowany profesor uniwersytetów angielskich i kanadyjskich, wykładający także w wielu uczelniach polskich, w jesieni swego życia imponuje niezwykłą aktywnością. Publikuje nowe tomy wierszy, esejów, szkiców i wspomnień, tłumaczy, jest obecny w krajowej prasie literackiej. Tylko w nowym tysiącleciu opublikował dwanaście książek, w tym obszerny, ponad czterysta stron liczący wybór poezji *Dotykanie świata* (2016) oraz blisko dwustustronicowy

tom wierszy nowych *Nanizując paciorki słów. Z notacji ostatnich* (2018). *Delta czasu* to szósty z kolei tom eseistycznej prozy, w której sędziwy pisarz podejmuje interesującą próbę odzyskiwania bogatej, obfitującej w *zbliżenia i kontakty* przeszłości.

> *Jesteśmy – pisze w Przedsłowiu autor – świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej. Wymierają ostatni jej przedstawiciele i wnet cała nasza wiedza na temat tego niezwykłego zjawiska politycznego i kulturalnego będzie pochodzić z drugiej ręki, od ludzi, którzy tej formacji i jej protagonistów nie znali. Wprawdzie pozostała ich twórczość i posiadamy wiele dokumentów dotyczących wybitnych emigrantów i ich współczesnych, ale nigdy nie za wiele jest opowieści i zapisków świadków.*

Florian Śmieja jest świadkiem z wielu względów atrakcyjnym i wiarygodnym. W młodości współtworzył fenomen, jakim była londyńska grupa „Kontynentów", skupiająca pisarzy, których nazwiska w sposób trwały zapisały się w dziejach polskiej literaury współczesnej. Przede wszystkim poeta, ale także redaktor i współpracownik najważniejszych pism emigracyjnych („Wiadomości", „Oficyny Poetów", „Kultury", macierzystych „Kontynentów"), płodny publicysta, kronikarz ważnych wydarzeń kulturalnych polskiej diaspory, pracownik uniwersytecki i pełen pasji poznawczej globtroter otwarty na nowe kultury i kolekcjonujący spotkania z ich ważnymi reprezentantami.

Bohaterów swej najnowszej książki – przede wszystkim ludzi pióra, choć nie tylko – profesor Śmieja poznał w Anglii, Francji, Niemczech, Hiszpanii, Meksyku, Kolumbii, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Kanadzie i Polsce. Aby się spotkać z wieloma spośród nich organizował wnikliwie przygotowane wyprawy badawcze, przebywał imponujące przestrzenie podążając śladami bohaterów ich książek, a raz nawiązane kontakty pielęgnował wytrwałą, wieloletnią korespondencją, której pokaźne tomy trafiły niedawno do archiwum Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Delta czasu nie przynosi wyczerpujących opisów monograficznych, jest raczej zbiorem lekkich, utrzymanych w konwencji felietonowej, żywo napisanych i miejscami błyskotliwych zapisków o twórcach, instytucjach i zdarzeniach, w różnym

stopniu wpisanych w intelektualną i literacką biografię autora. W zależności od stopnia zażyłości i intensywności kontaktów (od ulotnych, okazyjnych spotkań po kilkudziesięcioletnie przyjaźnie) zapiski te są bardziej obszerne lub zgoła fragmentaryczne, lecz zawsze dla czytelnika, zwłaszcza krajowego, niezwykle zajmujące. Autor pisze często o sprawach mało znanych, poprzez interesująco, niekiedy dowcipnie uchwycony szczegół: gest, słowo, celną anegdotę – przywracający głośnym postaciom kultury ich naturalny, chciałoby się rzec: ludzki wymiar. Z troską pochyla się nad dorobkiem piszących, którzy z różnych powodów nie znaleźli się w głównym nurcie zainteresowań badaczy polskiej literatury na obczyźnie (Wojciech Gniatczyński, Piotr Guzy, Beniamin Józef Jenne, Zygmunt Ławrynowicz, Wacław Liebert). Przedstawia w zwięzłej, lecz nasyconej faktografią formie zasłużone dla kultury polskiej instytucje emigracyjne (Polski Uniwersytet na Obczyźnie z jego znakomitą kadrą profesorską: Władysławem Folkierskim, Stanisławem Kościałkowskim, Stanisławem Kotem, Marianem Kukielem, Stanisławem Swianiewiczem, Władysławem Wielhorskim, londyński ośrodek wydawniczy Veritas, Oficynę Poetów i Malarzy Czesława i Krystyny Bednarczyków, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Fundację Turzańskich, Archiwum i Muzeum im. płk. Bolesłwa Orlińskiego). Większość z przekazywanych czytelnikom wrażeń, opinii, fragmentów listów i cytowanych wypowiedzi dotyczy ludzi, instytucji i zdarzeń znanych autorówi z autopsji. Pisarz staje się tym samym (nie stroniącym wprawdzie od subiektywizmu) kronikarzem, który daje nam relacje z pierwszej ręki.

Na kartach *Delty* pojawia się kilkaset znakomitych nazwisk polskich i obcych – pisarzy, muzyków, uczonych, dziennikarzy, polityków, animatorów życia kulturalnego, w tym wybitnych postaci polskiej diaspory, które już za życia obrosły legendą. Wymieńmy małą próbkę w porządku alfabetycznym: Gustaw Arango, Bogumił Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jan Bielatowicz, Danuta Irena Bieńkowska, Zofia Bohdanowiczowa, Renata Bogdańska, Jan Brzękowski, Roy Campbell, Camilo Jose Cela, sir George Clutton – pierwszy ambasador Wielkiej Brytanii, który pobierał z sukcesem nauki polskiego u autora *Delty*, Marian Czuchnowski, Maria Danilewicz-Zielińska, Jan Darowski, Karl Dedecius – autor pierwszej antologii poezji polskiej, w której Florian Śmieja miał niebagatelny udział, Louis Dudek, Józef Garliński, Jerzy Giedroyc, Mieczysław Grydzewski, gen. Józef Haller, Marian Hemar, Benedykt Heydenkorn, Wacław Iwaniuk, Aleksander Janta-

Połczyński, Tymoteusz Karpowicz, ks. Tadeusz Kirsche – kapelan Radia Wolna Europa, Józef Kisielewski – autor głośnej książki o słowiańskości wschodnich Niemiec *Ziemia gromadzi prochy*, Leszek Kołakowski, Jan Kowalik, Jan Leszcza (wł. Wiktor Londzin), Józef Łobodowski, Paweł Łysek, Jan Nowak, Zygmunt Nowakowski, Michael Ondaatje, Marian Pankowski, Jerzy Pierkiewicz, Aleksandra Piłsudska, Leopold Pobóg-Kielanowski, ks. Zdzisław Peszkowski, Elena Poniatowska, Juliusz Poniatowski, Alexander Porker, Robert D. F. Pring-Mill, Al Purdy, Bronisław Przyłuski, Czesław Straszewicz, Tadeusz Sułkowski, Tymon Terlecki, Wiktor Wientraub, Kazimierz Wierzyński, Edward M. Wilson, Józef Wittlin, Olga Żeromska.

Jestem przekonany, że nawet wytrawni czytelnicy eseistycznych publikacji „Odry" z niektórymi z tych nazwisk mogą mieć pewne problemy, by usytuować je we właściwym dla nich obszarze artystycznej i intelektualnej aktywności. Nie może to dziwić, gdyż reprezentowane przez bohaterów książki spektrum zainteresowań, specjalności, talentów, dokonań i miejsc w sensie geograficznym jest prawdziwie imponujące.

Spędziwszy zdecydowaną większość życia na obczyźnie, Florian Śmieja nie zaniechał kontaktów z Polską. Bywał w niej także w okresie, w którym było to na emigracji niezwykle źle widziane. Jako pisarz miał świadomość, że kontaktów tych zerwać nie może. W wędrującej z nim po świecie – imponującej – domowej bibliotece znalazły się najważniejsze tomy polskiej poezji i prac krytycznoliterackich, roczniki periodyków, leksykony, obfita korespondencja z polskimi twórcami.

Podobnie jak w przypadku znamienitych postaci polskiej i światowej kultury, z którymi autor *Delty* zetknął się na obczyźnie, długa jest lista wybitnych przedstawicieli polskiego życia literacko-artystycznego i politycznego w kraju. Nie sposób przytoczyć w tym omówieniu nawet części ich nazwisk, ograniczmy się tedy do najbardziej charaktersytycznych przykładów. Tworzą je m. in. Beata Baczyńska, Jan Błoński, Ludwik Flaszen, Jan Goczoł, Jerzy Grotowski, Henryk Mikołaj Górecki, Zbigniew Herbert, Tadeusz Kijonka, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Zygmunt Kubiak, Kazimierz Kutz, Stanisław Jerzy Lec, Adam Michnik, Wilhelm Szewczyk, Józef Musiał, Tadeusz Różewicz, Wojciech Siemion, Piotr Sawicki, Janusz Szuber, Jerzy Turowicz, ks. Jan Twardowski, Jerzy Zawieyski,

Walorem *Delty* jest nie tylko różnorodność i obfitość postaci, instytucji i zdarzeń, lecz przede wszystkim sposób, w jaki autor o nich pisze. Jak wspomniałem wcześniej, Florian Śmieja jest świadkiem (i uczestnikiem), który nie stara się być za wszelką cenę obiektywnym. Choć w porównaniu z wcześniejszymi tomami swoich wspomnień, w *Delcie* powściąga swoje emocje, nie waha się przed subiektywną oceną zachowań, tekstów i decyzji swoich przyjaciół z „Kontynentów" (np. Czaykowskiego, którego na krótko przed śmiercią odwiedzi w Vancouver, odnotowując *Ziemioskłon*, ostatni tom tego wybitnego poety, z należną mu uwagą i życzliwością). Nie skrywa pod suknem kierowanych w swoim czasie pod adresem „młodych gniewnych" i ich pisma krytycznych uwag Jana Bielatowicza, ani też jego opinii na temat konstatacji krytycznych Marii Danilewicz-Zielińskiej, z którą nawiasem mówiąc łączyła autora *Delty* wieloletnia serdeczna i zażyła przyjaźń. Przypomina prowadzone przez siebie spory, m. in. z autorem niniejszego omówienia, z którym wadził się przed laty na łamach pism krajowych i emigracyjnych, krytycznie wypowiada się na temat – świetnej w moim przeświadczeniu – antologii polskiej poezji na obczyźnie Bogdana Czaykowskiego. Nade wszystko jednak relacjonuje swoje spotkania i intelektualne przygody z twórcami – ludźmi wielu kultur, których poznawał, najczęściej z własnej inicjatywy redaktora, pisarza i badacza.

Warto zatrzymać – na przykład – oko na fragmentach, w których autor *Delty* wspomina swe spotkania z recenzentem jego pracy doktorskiej prof. Robertem D. F. Pring-Mille'em, przyjacielem Polski, który chciał zrezygnować z angielskiej armii po tym, jak rząd Jego Królewskiej Mości uznał Komitet Lubelski, co wybitny szkocki uczony uznał za jawną zdradę ze strony aliantów. Na uwagę zasługują refleksje na temat postaci i twórczości jednego z czołowych poetów kanadyjskich – Alfreda Wellingtona Purdy'ego, podobnie jak ciepłe wspomnienie o interesującej, tragicznie zmarłej poetce Danucie Irenie Bieńkowskiej, czy o ks. Janie Twardowskim, który, choć opuścił przed laty ten najlepszy ze światów, zdaje się, jako w pełni osobny poeta, święcić coraz większe sukcesy.

Jedno ze słownikowych haseł delty mówi, że jest to *równinny obszar u ujścia rzeki*. Obszar życiodajny, bo stwarzający optymalne warunki dla ludzkiej egzystencji. *Delta czasu* byłaby zatem (i jest) metaforą owocnego, spełnionego, nasyconego soczystym miąższem zdarzeń i kontaktów życia.

Chciałbym – pisze w zakończeniu swego tomu 93-letni autor – mieć nadzieję, że i ta „krucha książeczka”, zawierająca moje zapiski czynione zazwyczaj o świcie, utrwali i przechowa „ślady światła”, jakimi były dla mnie spotkania z frapującymi ludźmi i ich dokonaniami, a także z przejawami innych kultur, do których poznawania skłaniała mnie – wrodzona i zrozumiała najpierw u malca z prowincji, a później wieloletniego emigranta – ciekawość świata.

Utrwali i przechowa z pewnością.

Florian Śmieja: *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice 2018, s. 202.

Artykuł ukazał się w „Odrze” 2019, nr 5.

„Delta czasu” – pamięć o powojennej historii Polski w zapiskach, wspomnieniach i wierszach Floriana Śmieji

Florian Śmieja w mundurku gimnazjalnym z młodszymi braćmi Alojzym (po lewej) i Jerzym (po prawej stronie) oraz kolegami. Kończyce, 17 sierpnia 1938 roku.
Aleksander Trojanowski *(Wrocław)*

W Bibliotece Śląskiej ukazała się w ubiegłym roku książka *Delta czasu* autorstwa Floriana Śmieji, wybitnego polskiego iberysty, tłumacza i poety, zamieszkującego w Mississauga (Kanada). Książka zbiera notatki i zapisy o charakterze wspomnieniowym, ukazując jej autora jako tłumacza w najszerszym sensie tego słowa – mediującego na co dzień między kulturą polską, kanadyjską, brytyjską, hiszpańską czy szerzej – między różnymi kulturami Zachodu. Zachęcając czytelników, by sięgnęli do tekstów autora, spróbuję pokrótce wskazać tu jej główne wątki.

> *Poeta angielski napisał, że żaden człowiek nie jest wyspą, że nie służy mu zasklepianie się w sobie. Może więc raczej przypomina konfluencję delty, wody w ruchu, mieszającej flukty w gromadzących się dopływach, aglomerat niesionych osadów, zalew, dorzecze, labirynt tętniący ruchem i życiem, penetracją, nieustannym sączeniem i podmywaniem lądu[1].*

W ten znaczący sposób Florian Śmieja rozpoczyna swoją książkę. Znaczący, bowiem sens, którym uzupełnia słynną frazę Johna Donne'a wyraża jej ideę przewodnią. Człowiek, jak się wydaje, to jego historia – zarówno ta „mała historia", którą o sobie opowiada, jak i „wielka" historia, która kształtuje jego życiorys, ale którą też po części sam stwarza. Pamięć minionych wydarzeń okazuje się przede wszystkim „labiryntem tętniącym ruchem i życiem" – zapisem spotkań z innymi ludźmi. Jest to z pewnością niezwykle wartościowy rys wspomnień Floriana Śmieji – pamięć indywidualna okazuje się zarazem pamięcią wspólną, a osobiste zapiski autora ocalają pamięć nie tylko o jednej, ale o wielu biografiach. Portret emigracji wojennej – ale przecież nie tylko, bo ukazane zostały także postaci, z którymi autor zetknął się jako człowiek nauki, poeta i tłumacz – nakreślony jest z czułością, ale i koniczną dozą krytycyzmu, które bezsprzecznie nadają książce walor dokumentu pewnej epoki.

Wspomnieniom Floriana Śmieji towarzyszy zarazem – z racji samej natury poruszanej w niej materii – atmosfera pewnego kresu. Jak pisze sam autor, „jesteśmy świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej"[2]. Jest to więc zatem próba opowiedzenia jej historii z perspektywy świadka, czy raczej, jak należało by powiedzieć – uczestnika zdarzeń, a więc opowieść z pierwszej ręki. Proponuję, byśmy dla potrzeb tego krótkiego omówienia przyjęli punkt widzenia czytelnika, który nie

wie – nie wie, kim są sportretowane w książce postaci, nie zna kontekstu opisywanych wydarzeń, ani ich znaczenia. Jest to bowiem czytelnik, który będzie przyszłym odbiorcą tej książki. Czego się z niej dowie?

Wypada zacząć od tego, jak sam autor określa cel swojej książki:

> *Moje wspomnienia i noty mają za zadanie przybliżyć niektóre zachowania i wypowiedzi znane mi osobiście i do nich starałem się ja zasadniczo ograniczyć, nie kusząc się o opracowanie wszechstronnych monografii. Te okruchy i fragmenty doświadczeń z autopsji, z pierwszej ręki, cytaty korespondencji, pragnę dorzucić do wiarygodnych przekazów i źródeł wiedzy o najnowszych dziejach Polski, w tym wypadku o emigracji niepodległościowej na Zachodzie, z których będą mogli czerpać przyszli badacze, historycy i krytycy.[3]*

Dostajemy więc do ręki dokument, mający za zadanie zachować wiarygodne informacje o życiu powojennej emigracji na Zachodzie. W dużej mierze przybiera on formę swoistego leksykonu postaci, z którymi zetknął się z różnych powodów autor. Leksykonu, w którym swoje miejsce znajdują zarówno pierwszoplanowi protagoniści powojennej kultury – jak Jerzy Giedroyć, Czesław Miłosz, czy Leopold Tyrmand (by wymienić tylko kilka obecnych na stronach *Delty czasu* postaci), ale również animatorzy i uczestnicy życia kulturalnego Polonii w Anglii i Kanadzie i – co oczywiste – przyjaciele i najbliżsi.

Warto przy tym zaznaczyć, że osobisty wymiar zapisków Floriana Śmieji nie sprowadza się tylko do tego, że wśród opisywanych wydarzeń pojawiają się również bardziej prywatne wspomnienia. Polega on raczej na tym, że jako czytelnicy mamy okazję przyjrzeć się faktom z perspektywy autora. I ta obecność autora w tekście jest niewątpliwie wartością dodaną całej książki, co ujawnia się przykładowo we fragmencie, w którym autor krytykuje wydaną w 1965 roku antologię grupy poetyckiej „Kontynenty”, do której sam należał. Gdy Śmieja zarzuca redaktorowi tomu, Andrzejowi Lamowi, manipulację, mamy okazję jak w soczewce zobaczyć, jak aktualna jest stawka, o którą toczy się gra w tego rodzaju pisarstwie historycznym. Choć bowiem czytamy o wydarzeniach ze stosunkowo odległej przeszłości, to widać, jak względną i wrażliwą kwestią jest prawda i jak szczególnie cenną wartością są z tego względu relacje świadków i uczestników wydarzeń.

W szerszym kontekście zebrane w książce notatki, pisane z perspektywy emigranta i poety, który znajduje się niejako pomiędzy kulturą polską a kulturą swojego nowego miejsca zamieszkania, są swoistym przyczynkiem do problematyzacji polskości. Z jednej strony stanowią one przypomnienie, że najnowsza historia Polski nie toczyła się tylko w powojennej Polsce, a więc – innymi słowy – że jest ona nie do pomyślenia bez historii polskiej emigracji. Z drugiej zaś strony, emigracyjne losy ludzi polskiej kultury, a w szczególności poetów, ukazują uniwersalny wymiar ich doświadczenia. Wszak dylematy, przed którymi stawali bohaterowie wspomnień Śmieji, jak np. kwestia języka – czy trzymać się języka polskiego i skazywać na pisarstwo bez publiczności, czy porzucić polszczyznę i pisać w nowym języku – czy choćby dotyczący szczególnie poetów problem tematu – czy mieszkający w Kanadzie poeta powinien stworzyć w polszczyźnie własny obraz Kanady, czy raczej utrwalać obrazy polskiej przeszłości – to dylematy wspólne wszystkim ludziom kultury, których XX wiek skazał na doświadczenie wychodźstwa.

Wspomnienia Floriana Śmieji, w których, jak się rzekło, odbija się co rusz doświadczenie zamieszkiwania między różnymi kulturami, kontakt z przedstawicielami innych kultur oraz nieustająca konieczność przekładu, pozwoli czytelnikowi spojrzeć dokładniej na sens działalności tłumaczeniowej i naukowej autora. Wspomnienia Floriana Śmieji unaoczniają bowiem, że widoczna na pierwszy rzut oka strona tej działalności jest w pewnym sensie drugorzędna. Tymczasem w swojej istocie, zarówno nauka, jak i przekład umożliwiają spotkanie i wzajemne porozumienie międzyludzkie. Niech ilustracją tego twierdzenia będzie opisana w książce historia przeszczepienia myśli brytyjskiej szkoły calderonistów – specjalistów zajmujących się twórczością hiszpańskiego dramatopisarza Calderona de la Barki – na grunt polski, w którym „maczał palce” profesor Śmieja. Historia ta zaczyna się po wojnie, gdy autor jest uczniem wybitnych brytyjskich calderonistów – Alexandra A. Parkera i Edwarda M. Wilsona. Do zajęcia się Calderonem zainspiruje on następnie napotkaną w Madrycie młodą hispanistkę z Polski, Beatę Baczyńską. Stanie się ona z czasem wybitną specjalistką w tej materii, czego symbolem może być kongres calderonistów, zorganizowany przez nią na Uniwersytecie Wrocławskim w 2008 roku. Widać tu jak na dłoni, że nauka, tłumaczenie, szerzej – zajmowanie się kulturą, to w istocie szereg spotkań, wzajemnych inspiracji i wspólnego działania ponad kulturowymi, czy politycznymi podziałami.

Doktor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego prof. Florian Śmieja wraz z JM Rektorem prof. Markiem Bojarskim i promotorem doktoratu honorowego prof. Beatą Baczyńską. Wrocław, 2015 rok.

Wypada wspomnieć również o poetyckiej działalności Floriana Śmieji, jego wspomnienia pokazują bowiem, w jaki sposób twórczość związana jest z życiem, będąc tak naprawdę częścią tego samego procesu:

> *Budząc się o świcie, staram się z otwierającej się świadomości wyłuskać oryginalny pomysł, jego zawiązek i wyartykułować jego początek. Powtarzam go i dobieram właściwie słowa, aż upewnię się, że posiadam myśl wartą zachowania. Czasem zdarza się, że równocześnie świta drugi pomysł. Próbuję go również ułowić i wtedy wstaję do komputera i usiłuję oba wątki zapisać, by utrwalone stały się budulcem wierszyków. Z tych esencji, czytając je wielokrotnie, szykuję wersję ostateczną, dodając i przetwarzając materiał[4].*

Esencji takich, poetycko przetworzonych wspomnień, na kartach książki nie brakuje.

Esencjonalność jest zarazem ogólnym rysem tej książki. Na koniec pozostaje bowiem

zdumienie, że tak wiele historii, osób, problemów zmieściło się na przestrzeni niecałych dwustu stron. Zapiski Floriana Śmieji są w tym sensie także lekcją pokory i przypomnieniem o tym, jak ulotna i wybiórcza jest pamięć. Czas, który obszerna monografia zredukowałaby może do paru wyrazistych postaci i kliku kluczowych faktów, rozrasta się tu i – co najważniejsze – zaludnia szeregiem barwnych i ciekawych postaci. Warto o nich czytać, żeby nie zapominać i żeby poznawać historie takie jak przytoczona w książce historia ludności pewnej śląskiej wsi, która w całości wyemigrowała do USA pod przewodem księdza Leopolda Moczygęby, zabierając ze sobą ziarno siewne, pług, krzyż i dzwon kościelny, by w 1854 roku założyć w Teksasie miejscowość Panna Maria. Takich nieoczywistych a znaczących historii znajdzie czytelnik w *Delcie czasu* więcej.

Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018.

[1] Florian Śmieja, *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice, 2018, s. 9.

[2] *Ibidem*, s. 7.

[3] *Ibidem*, s. 8.

[4] *Ibidem*, s. 9-10.

Polska mgła w Londynie

Leszek Żuliński

Z pewnym opóźnieniem trafił ten tomik do moich rąk, ale warto o nim cokolwiek napisać i przede wszystkim nagłośnić mało znaną w Polsce autorkę, która od lat mieszka w Londynie. Tutaj zresztą, w Polsce, wydała kilka swoich tomików. W Londynie jest aktywna – współredaguje tam pismo „Pamiętnik Literacki"; należy do miejscowego Pen Clubu. Debiutowała tomikiem pt. *Dziewanna* (1985), ma także sporo innych publikacji, także tomiki wydane w języku angielskim. Jednym słowem, Mickiewicz żyje literaturą. M.in. jest laureatką medalu Gloria Artis.

Zawsze mnie intrygowało, jak po wielu latach emigracji można pisać wiersze do głębi nasiąknięte polską dykcją. U Pani Anny Marii Mickiewicz jest to całkowicie naturalne.

U niej między kanałem La Manche a Wisłą odległość wciąż jest malutka. Oto wiersz pt. *Wieczorami śnię*:

Widzę tańczące dziewczęta

Rozległe bagniska

Wśród łąk

Ktoś śpiewa na Białorusi…

Zamarznięty obraz dzieciństwa

Zatrzymany

Jak w szklanej kuli

Jeżeli wrócę w rodzinne strony

Boję się, że sen ucieknie.

Sentymenty przeszłości są jednym z budulców tych wierszy. Ale nie tylko one. Autorka często nawiązuje do swoich egzystencjalnych spleenów, jak w tym wierszu pt. *Buty*:

Spotykam ludzi

Obserwuje ich buty

Zdarzają się ciche

I te schodzone

Nie świadczą o zamożności

Niby wygodne

A ograniczają

Wybieramy te, które przeszły wiele mil

Wybieramy nasza własną cichą drogę

Odchodzenia

Przechodzenia przez życie

Wędrówki w kierunku zachodu słońca

Ale nigdy poranka…

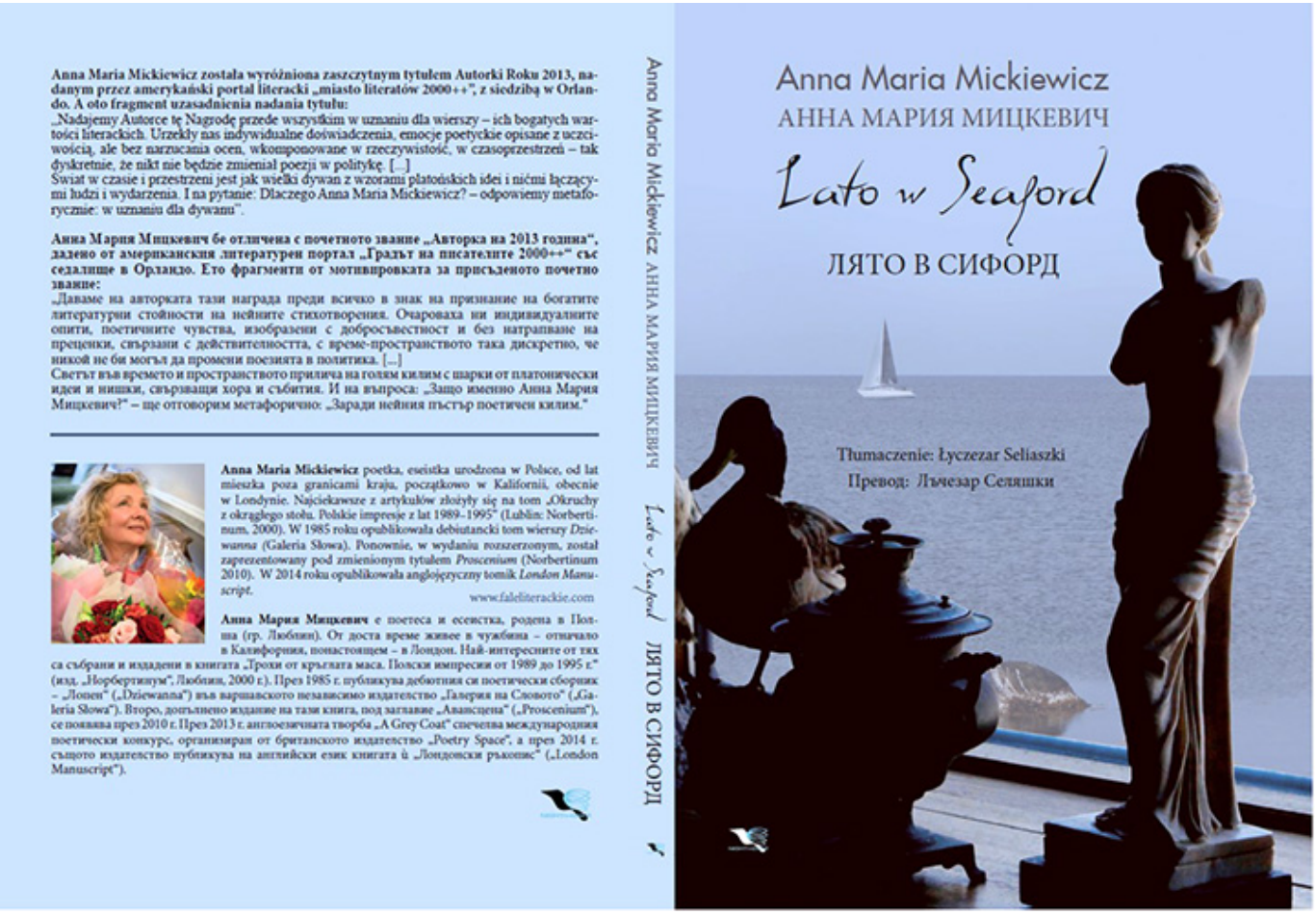

Anna Maria Mickiewicz została wyróżniona zaszczytnym tytułem Autorki Roku 2013, nadanym przez amerykański portal literacki „miasto literatów 2000++", z siedzibą w Orlando. A oto fragment uzasadnienia nadania tytułu:
„Nadajemy Autorce tę Nagrodę przede wszystkim w uznaniu dla wierszy – ich bogatych wartości literackich. Urzekły nas indywidualne doświadczenia, emocje poetyckie opisane z uczciwością, ale bez narzucania ocen, wkomponowane w rzeczywistość, w czasoprzestrzeń – tak dyskretnie, że nikt nie będzie zmieniał poezji w politykę. [...]
Świat w czasie i przestrzeni jest jak wielki dywan z wzorami platońskich idei i nićmi łączącymi ludzi i wydarzenia. I na pytanie: Dlaczego Anna Maria Mickiewicz? – odpowiemy metaforycznie: w uznaniu dla dywanu".

Анна Мария Мицкевич бе отличена с почетното звание „Авторка на 2013 година", дадено от американския литературен портал „Градът на писателите 2000++" със седалище в Орландо. Ето фрагменти от мотивировката за присъденото почетно звание:
„Даваме на авторката тази награда преди всичко в знак на признание на богатите литературни стойности на нейните стихотворения. Очароваха ни индивидуалните опити, поетичните чувства, изобразени с добросъвестност и без натрапване на преценки, свързани с действителността, с време-пространството така дискретно, че никой не би могъл да промени поезията в политика. [...]
Светът във времето и пространството прилича на голям килим с шарки от платонически идеи и нишки, свързващи хора и събития. И на въпроса: „Защо именно Анна Мария Мицкевич?" – ще отговорим метафорично: „Заради нейния пъстър поетичен килим."

Anna Maria Mickiewicz poetka, eseistka urodzona w Polsce, od lat mieszka poza granicami kraju, początkowo w Kalifornii, obecnie w Londynie. Najciekawsze z artykułów złożyły się na tom „Okruchy z okrągłego stołu. Polskie impresje z lat 1989–1995" (Lublin: Norbertinum, 2000). W 1985 roku opublikowała debiutancki tom wierszy *Dziewanna* (Galeria Słowa). Ponownie, w wydaniu rozszerzonym, został zaprezentowany pod zmienionym tytułem *Proscenium* (Norbertinum 2010). W 2014 roku opublikowała anglojęzyczny tomik *London Manuscript*.

www.faleliterackie.com

Анна Мария Мицкевич е поетеса и есеистка, родена в Полша (гр. Люблин). От доста време живее в чужбина – отначало в Калифорния, понастоящем – в Лондон. Най-интересните от тях са събрани и издадени в книгата „Трохи от кръглата маса. Полски импресии от 1989 до 1995 г." (изд. „Норбертинум", Люблин, 2000 г.). През 1985 г. публикува дебютния си поетически сборник – „Лопен" („Dziewanna") във варшавското независимо издателство „Галерия на Словото" („Galeria Słowa"). Второ, допълнено издание на тази книга, под заглавие „Авансцена" („Proscenium"), се появява през 2010 г. През 2013 г. англоезичната творба „A Grey Coat" спечелва международния поетически конкурс, организиран от британското издателство „Poetry Space", а през 2014 г. същото издателство публикува на английски език книгата ѝ „Лондонски ръкопис" („London Manuscript").

Anna Maria Mickiewicz АННА МАРИЯ МИЦКЕВИЧ Lato w Seaford ЛЯТО В СИФОРД

Anna Maria Mickiewicz
АННА МАРИЯ МИЦКЕВИЧ
Lato w Seaford
ЛЯТО В СИФОРД
Tłumaczenie: Łyczezar Seliaszki
Превод: Лъчезар Селяшки

Znalazłem tu nawet „ważny wiersz” pt. *Trzynastego Grudnia*:

Wyniośle zacisnąć wargi

Na jak długo?

Parują stawy w lesie

W stronę dalekiego domu

Dym zaciera pole widzenia

Porządek świata

Wzywa pomocy

Rozpadły się słowa „Wywrotowca”

Wywietrzały

jak stara szafa

Niczego nie przypominają żółte kartki

Pod palcami

Lód znaczeń

Runie cesarstwo

Ot tak

nie będzie nawet kartek.

A więc Poetka zatrzasnęła się nie tylko w czystym liryzmie.

Zawsze wydawało mi się, że pisanie wierszy na obczyźnie siłą rzeczy bywa najczęściej z lekka anachroniczne. Po raz kolejny widzę, jak pamięć i język nie murszeją, nie umierają. Bo język jest wciąż ten sam: to kod naszego istnienia! Jego trwałość jest niezniszczalna.

No i na koniec zacytuję wam wiersz zgoła uniwersalny, który zresztą posłużył na tytuł tego tomiku. Jego tytuł: *Lato w Seaford*:

Słońce zrzuca złote krople

Morze pozera je natychmiast

Niebo lśni

Dzień jest nierealny,

Wyrwany z innej opowieści.

Dojeżdżamy.

Kończą się tory.

Przekonujemy się o złudności nieskończonej przestrzeni…

Przechodzimy przez angielskie miasteczko.

Mała stacja,

Tynk odpada nierównomiernie z drewnianych podpór

przed nami ocean mieni się groźnie.

W oddali żółty klif

Wbija się ostro w morze

Nie ma frytek, lodów waty na patykach,

Ciała meduz błyszczą na kamieniach.

Dzień mija ospale,

Szara sylwetka statku.

Na plaży ludzie rozkładają:

Płócienne leżaki, Pomarszczoną skórę.

Jak widzicie: czy w Londynie, czy na Ziemi Ognistej nie tracimy kodu języka, z którego się wywodzimy. Anna Maria Mickiewicz zasługuje na mocniejsze usadowienie się w naszych lekturach.

Jednego tylko tu nie zrozumiałem… Otóż wiersze w tym tomiku mają także swoją wersję bułgarskojęzyczną (w tłumaczeniu Łyczezara Seliaszki). Nigdzie nie znalazłem notki o tym dlaczego ta wersja. Ale i dobrze: może enklawa bułgarska zapozna się z odrobiną polskiej poezji?

Anna Maria Mickiewicz, *Lato w Seaford*, Wydawca: Alicja Kuberska, Inowrocław 2017, s. 60.

Wojskowe Szkoły Junaków – mało znany rozdział najnowszej historii Polski

Gen. Władysław Sikorski z wizytą w Heliopolis, w maju 1943, zaledwie na dwa miesiące przed tragiczną katastrofą w Gibraltarze. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Album Kozińskiego.

Prof. Adam Czesław Dobroński

Muzeum Wojska w Białymstoku

Tom napisany przez Henry Radeckiego, Polaka mieszkającego od powojnia w Kanadzie, jest opracowaniem oczekiwanym i oryginalnym. Tytuł *Młodzież Andersa* brzmi nieco tajemniczo, ale podtytuł nie pozostawia wątpliwości. Otrzymaliśmy książkę o polskich szkołach junaków i młodszych ochotniczek, którzy wydostali się z Rosji sowieckiej po zawarciu 30 lipca 1941 r. układu Sikorski-Majski. Przeżyli oni dramatyczny czas wywózek z domów rodzinnych, potem wegetowania na odległych obszarach imperium stalinowskiego, zmagań o przetrwanie. Po tak zwanej amnestii zdołali dotrzeć do obozów wojsk polskich gen. Władysława Andersa i dzięki mądrej decyzji przyszłego dowódcy 2 Korpusu Polskiego otrzymali szansę podjęcia nauki. Mieli za dużo lat, by wyjechać do osiedli urządzanych dla dzieci i ich opiekunów (głównie matek) w Australii, Indiach, Meksyku, Nowej Zelandii oraz w kilku rejonach Afryki, ale za mało, by zasilić „z marszu" oddziały wojskowe. Wojsko ich jednak przygarnęło, pomogło w ewakuacji z „kraju niewoli", zadbało o zrazu trudne, potem znośne, a z czasem dogodne warunki bytowania, stopniowo także o kadrę wykwalifikowanych nauczycieli i wychowawców, z większymi trudnościami również o pomoce szkolne. Jedyne to było takie – unikalne – przedsięwzięcie w okresie II wojny światowej, godne przypominania. Podobnie, jak jedyne na wielką skalę było tajne nauczanie w okupowanej Polsce.

Naoczny świadek bitwy pod Monte Cassino, korespondent wojenny Wiktor Ostrowski przekazuje swoje doświadcze-nia młodym lotnikom z Heliopolis. Czerwiec 1944. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

Powstała sieć kilkunastu szkół: łączności – na ich absolwentów czekały niecierpliwie oddziały frontowe, junackich mechanicznych – najliczniejszych, też ściśle powiązanych z wojskiem, w tym czterech gimnazjów i jednego liceum, młodszych ochotniczek –gimnazjalistek i licealistek zasilających Pomocniczą Służbę Kobiet, Gimnazjum i Liceum Lotniczego („Błękitni chłopcy") – pozostającego pod opieką dowództwa Royal Air Force (RAF), Junackiej Szkoły Kadeckiej – wzorowanej na przedwojennym Korpusie Kadetów, z naciskiem na wiedzę i umiejętności wojskowe, szkół powszechnych – młodszej i starszej, przygotowującej chętnych do szkół zawodowych i gimnazjów, Junackiego Gimnazjum Kupieckiego – kształciło młodzież z myślą o zasileniu kadr handlowych w wolnej Polsce oraz innych jeszcze placówek i kursów. Poza wymienionymi szkołami, którym Henry Radecki poświęcił oddzielne rozdziały, wspomnieć należy jeszcze o Junackim Liceum Drogowym, szkołach powszechnych połączonych z zawodowymi oraz Gimnazjum Kupieckim i Liceum Pedagogicznym dla młodszych ochotniczek. Z przyczyn obiektywnych nie jest

możliwym równie dokładne opisanie wszystkim tych form edukacji, szkół ulokowanych w różnych miejscowościach, często reorganizowanych, otwieranych i zamykanych w różnych latach, zainicjonowanych jeszcze na południu ZSRS (Karkin Batasz, Guzar i Kitabu, Kermine, Wrewskoje).

Szkoły junaków i młodszych ochotniczek wykazywały się ambicjami i osiągnięciami w zakresie zdobywania wiedzy, przygotowywania wychowanków do służby wojskowej, kreowania wydarzeń kulturalnych, organizowania zajęć pozaszkolnych i zawodów sportowych, pożytecznego i przyjemnego zarazem spędzania czasu wolnego, poznawania atrakcyjnych okolic i starożytnych zabytków. Starano się możliwie jak najlepiej, opieką niemal matczyną i ojcowską otoczyć ofiary wojny. Wzruszają i dzisiaj opisy przejawów patriotyzmu w warunkach stałej tęsknoty za wolną Polską, komplikującej się sytuacji politycznej w świecie, narastającego niepokoju, co przyniesie jutro. Szkoły junackie mogły na Środkowym i Bliskim Wschodzie realizować założone cele, pomagały im w tym rozliczne organizacje (przykładem ZHP, „Sodalicja Mariańska”), zrozumienie i życzliwość wykazały władze brytyjskie. Młodzi z radością witali przedstawicieli Rządu Polskiego i Wojska Polskiego, osoby duchowne, gości budzących nadzieję w sercach, opowiadających o ukochanej ojczyźnie. Sami zaś wzbudzali sympatię wśród miejscowej ludności cywilnej, zadziwiali swą dzielnością, uczynnością, głęboką wiarą. To oczywiste, że pojawiały się i rozliczne trudności, dochodziły także złe wieści, odzywały się dokuczliwości sieroctwa, nawroty chorób.

Henry Radecki postarał się, by zawrzeć w swym tomie bogaty zestaw faktów, co nie było ani łatwe ze względu przede wszystkim na braki źródeł, zaginięcie skrzyń z dokumentami przejętymi przez władze brytyjskie. Autor powracał wielokrotnie do najważniejszych jego zdaniem danych liczbowych, dat i nazwisk, schematów organizacyjnych i wniosków. Czynił to kierując się pragnieniem, by czytelnicy w Polsce dobrze zapamiętali niezwykłe dzieje wyjątkowych szkół, wczuli się w tamte realia i marzenia, radości i smutki. Radecki dodał – co bardzo ważne – oryginalne oceny i szacunki, które częściowo różnią się od dominujących w Polsce. Ale i w kraju utrzymują się przecież rozbieżności, na przykład odnośnie liczby obywateli II RP (nie tylko narodowości polskiej) wywiezionych w latach 1939-1941 przez okupantów sowieckich, także procentowych szacunków osób zmarłych i zaginionych na „nieludzkiej ziemi”. W trakcie prac redakcyjnych postanowiliśmy pozostawić

niektóre terminy utrwalone w środowiskach emigracyjnych (przykładem kampania wrześniowa 1939 r.), jak najmniej ingerować w styl narracji autora, w pierwotny układ książki.

Wizyta zespołu teatralno-kabaretowego w Heliopolis. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Album Kozińskiego.

Niespodziewany wylew Nilu zatopił obóz w Heliopolis. Ucierpiały namioty sypialne, ale uratował się dwupłatowiec. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

Tom ten ma charakter monografii, ale jest jednocześnie i dokumentem, powstawał długo i sądzę, że pozostanie ostatnią publikacją napisaną przez polskiego junaka czasów II wojny światowej. Autor utrzymywał przez dziesięciolecia więzi z koleżankami i kolegami z opisywanych szkół, prowadził ofiarnie poszukiwania materiałów, gromadził pamiątki historyczne. Pisząc książkę wykorzystywał zebrane relacje i odnalezione dokumenty, opracowania (głównie emigracyjne) i artykuły prasowe, także jednak wplatał w tekst własne refleksje. H. Radecki dołączył do junaków w kwietniu 1942 r., przebył szlak od opuszczenia Związku Sowieckiego przez Persję (Iran), Palestynę do Egiptu. Nie powrócił do Polski, za to aktywnie uczestniczył w życiu emigracji i nadal opiekuje się „Pokojem Andersa" w Wawel Villa w Mississaudze, części wielkiego Toronto. To tam zrodziła się przed rokiem myśl wydania tej książki przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie we współpracy z Muzeum Wojska w Białymstoku.

Absurdem byłoby streszczanie zawartości *Młodzieży Andersa*, natomiast chciałbym wskazać na wydane w Polsce opracowania dotyczące szkół junackich. Było ich nie tak wiele, często nie obejmowały wszystkich wątków, ale warto po nie sięgać. Żyjący

w kraju byli uczniowie i wychowankowie szkół junaków i młodszych ochotniczek też w miarę możliwości podtrzymywali kontakty między sobą, co stawało się coraz łatwiejsze od lat siedemdziesiątych XX stulecia. Ich dzieje wplotły się w legendę Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ta nabrała blasku po 1989 r.

Z pozycji najdawniejszych, wydanych jeszcze w PRL, należy wspomnieć opracowanie Tadeusza Bugaja: *Obozy i szkoły junackie dla młodzieży polskiej na obczyźnie w latach 1941–1947* („Prace Karkonoskiego Towarzystwa Naukowego" 1979, nr 13) oraz Witolda Lisowskiego: *Polskie korpusy kadetów 1765-1956. Z dziejów wychowania*" (Warszawa 1982 r.; tenże autor opublikował artykuł o kadetach na łamach „Wojskowego Przeglądu Historycznego", 1987, nr 3). Znacznie szerzej temat swej książki zakreślił Jan Draus: *Oświata i nauka polska na Bliskim i Środkowym Wschodzie 1939–1950* (Lublin 1993). Mniej lub bardziej rozbudowane informacje o szkołach junaków i młodszych ochotniczek podawali autorzy monografii Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a przykładem może być tom Piotra Żaronia: *Armia Andersa* (Toruń 2000). Materiał o szkołach junackich w Nazarecie i Barbarze zawiera także album *Tułacze dzieci* (Warszawa 1995).

Uczennice Gimnazjum Kupieckiego witane przez dyrektora oddziału banku PKO (Pocztowa Kasa Oszczędności) w Tel Awiwie. Hebrajski napis świadczy, że bank służył przedwojennym polskim emigrantom żydowskiego pochodzenia. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

W 2001 r. ukazał się pierwszy z trzech tomów o wspólnym podtytule: *Szkolnictwo i oświata polska na Zachodzie w czasie II wojny światowej*. W tym inauguracyjnym tomie: *Przez burze pod wiatr* (red. T. Zaniewska, Białystok 2001) znalazły się między innymi teksty: Adama Czesława Dobrońskiego o Junackim Gimnazjum Kupieckim, Marii Radomskiej o szkole junaczek i szkołach młodszych ochotniczek w Armii Polskiej na Wschodzie a także Stefanii Walasek o dziejach szkół na Bliskim i Środkowym Wschodzie oraz w Afryce (zarys problematyki). Tom następny: *Światło wśród burzy* (red. T. Zaniewska, N. Pospieszny, Z. Stankiewicz, Białystok 2004) zawierał artykuł A. Cz. Dobrońskiego o III Junackiej Szkole Mechanicznej i przedruk

artykułu W. Lisowskiego o Junackiej Szkole Kadetów (1942-1948). Natomiast tom III nosił tytuł: *Nauczyciele-uczniowie. Solidarność pokoleń* (red. T. Zaniewska, Warszawa 2007) i pomieścił artykuły: A. Cz. Dobrońskiego o obozach letnich dla młodszych ochotniczek oraz Ewy Romanowskiej o rozwoju sportu w polskich szkołach junackich na Bliskim Wschodzie w świetle kronik „Junaka".

W 2007 r. w nr 32 „Zesłańca" (kwartalnik ZG Związku Sybiraków) Wojciech Narębski opublikował tekst: *Generał Władysław Anders – opiekun młodzieży żołnierskiej*, a M. Radomska: *W 65. rocznicę rozkazu gen. Władysława Andersa o utworzeniu szkół junaczek i junaków w ZSRR*. Rok później ukazała się pozycja: *Polskie dzieci na tułaczych szlakach 1939-1950* (red. J. Wróbel, J. Żelazko, Warszawa 2008).

Pamiętna wizyta: Polki z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża przyjechały z darami dla młodzieży, przywożąc ręczniki, skarpetki i słodycze. Heliopolis, kwiecień 1944. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – autor.

Za cenne, ostatnio wydane książki, można uznać opracowania między innymi Jacka Pietrzaka: *Polscy uchodźcy na Bliskim Wschodzie w latach drugiej wojny światowej. Ośrodki, instytucje, organizacje* (Łódź 2012); Marka Ney-Krwawicza: *Na pięciu kontynentach. Polskie dzieci i młodzież na tułaczych szlakach 1939–1950* (Warszawa 2014); Edyty Sadowskiej i Beaty Urbanowicz: *Edukacja historyczno-kulturalna w szkołach junaków i młodszych ochotniczek (1941–1948)* (Częstochowa 2015). Przybyło również artykułów, w tym na tematy wykraczające poza oświatę junaków i młodszych ochotniczek, czyli o szkołach działających przy 3 Dywizji Strzelców Karpackich („Szkoła Karpacka") i 5 Kresowej Dywizji Piechoty oraz kursach maturalnych dla żołnierzy oraz ochotniczek z Pomocniczej Służby Kobiet, a także o szkołach dla młodzieży polskiej powstałych po wojnie we Włoszech i Wielkiej Brytanii.

Można mieć nadzieję, że odnajdą się jeszcze materiały źródłowe do dziejów szkół junackich w archiwach, muzeach, zbiorach prywatnych i to zarówno w Polsce, jak i w środowiskach emigracyjnych. W zasobach Instytutu Polskiego i Muzeum Sikorskiego w Londynie znajdują się dość liczne dokumenty, kroniki i relacje. H. Radecki korzystał z tych zasobów, starałem się i ja je penetrować, a wysiłki te należy kontynuować. Przykładowo wskazać można na kronikę z I Letniego Obozu Wypoczynkowego dla Szkół Junackich w Sidi-Bishr (przedmieście Aleksandrii), zorganizowanego latem 1944 r. (sygn. C.388). Umieszczono w niej kopię listu gen. W. Andersa z 22 lipca:

> *Zakończyliśmy zwycięską bitwę pod Ankoną, bijąc się o nią biliśmy się o Polskę. Wierzymy, że pomimo wszystko wykończymy w rezultacie choć kolejno wrogów naszej Ojczyzny…*

Szczęśliwi, już prawie junacy. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Junacka Szkoła Kadetów.

Generał podziękował „kochanym Dzieciom” za „tak bardzo drogą” dla niego pamięć i za listy. Ciekawe są opisy obozów letnich młodszych ochotniczek urządzonych w 1945 r. w Atlicie koło Hajfy, Barbarze, Jerozolimie, Nazarecie i w Ośrodku Uzdrowieńczym w Tyberiadzie (turnusy lecznicze). Stacja Uzdrowieńcza dla uczniów powstała w lutym 1943 r., posiłki wydawano tu pięć razy dziennie, przeprowadzano badania lekarskie, obowiązkowe było leżakowanie, wyjeżdżano na kąpiele zdrowotne siarczane i solankowe. Wychowawcy zapoznawali młodzież z dziejami Ziemi Świętej, prowadzili zajęcia z geografii i historii Polski. Każdy kolejny turnus prezentował przedstawienia teatralne, podtrzymywano więź z osobami duchownymi z okolicznych parafii i zakonów, powiększał się księgozbiór biblioteki, pięknie prezentowała się świetlica (sygn. C 309).

Powstaje pytanie, co można jeszcze zrobić, by skuteczniej spopularyzować szkoły junackie, dowieść ich wyjątkowości? Najłatwiej byłoby opracować i wydać album z uwzględnieniem przynajmniej najważniejszych typów szkół, pokazaniem warunków w jakich one pracowały, zajęć nie tylko szkolnych, składu osobowego kadry i grup

uczniowskich. Utrudnieniem w tym dziele będzie fakt, że znaczna część zachowanych fotografii nie została dokładnie opisana, różna jest też ich jakość. Bardziej pracochłonnym zadaniem będzie zestawienie najważniejszych dokumentów do dziejów szkolnictwa polskiego na Środkowym i Bliskim Wschodzie. Czy można jeszcze liczyć na odzyskanie wspomnianej, utraconej dokumentacji z 41 skrzyń? Okaże się to po dodatkowych kwerendach w archiwach brytyjskich. Do wspomnień wydanych już drukiem trzeba dodać relacje przechowywane w archiwach i zbiorach prywatnych, ale czy to wystarczy na napisanie tomu o dalszych losach „młodzieży Andersa", ich adaptacji w różnych krajach świata, również w Polsce? Autor takiej publikacji musiałby postawić pytanie, na ile wiedza zdobyta w szkołach junackich pomogła wychowankom w ich życiu dorosłym, w ich karierach zawodowych. Jeszcze trudniejsze pytanie brzmi: czy programy nauczania, zwłaszcza realizowane w omawianych szkołach pod koniec wojny i po jej zakończeniu, były dostosowane do zmieniającej się rzeczywistości politycznej, która praktycznie zamknęła junakom i młodym ochotniczkom drogę do Polski? Bardziej jednoznacznie wypada ocena wysiłków kształtowania charakterów tej społeczności, jej postawy patriotycznej i obywatelskiej. Tej kwestii wiele uwagi poświęcił również H. Radecki.

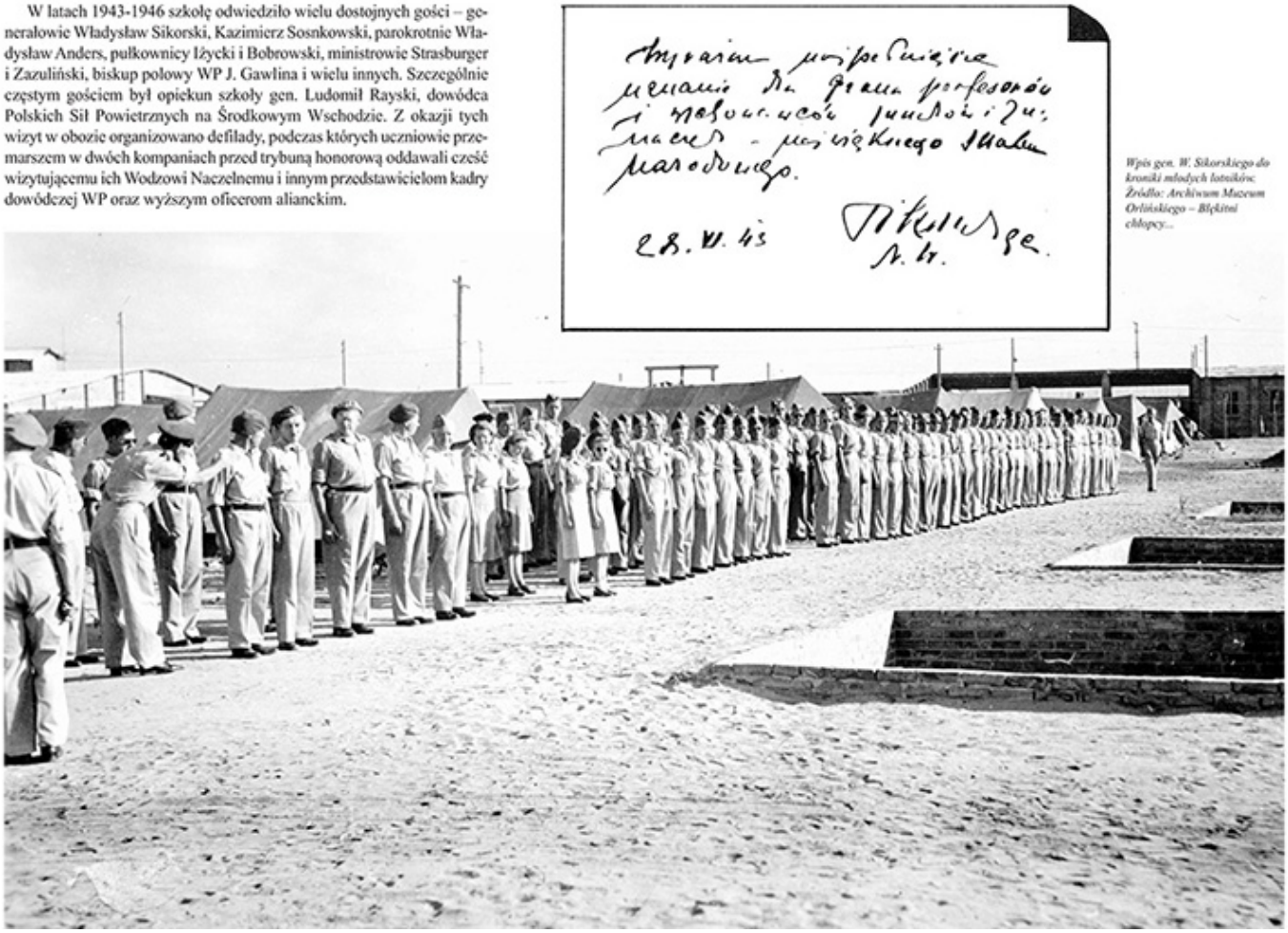

Wpis gen. W. Sikorskiego do kroniki młodych lotników. Źródło: Archiwum Muzeum Orlińskiego – Błękitni chłopcy.

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Podziękujmy autorowi za jego cenne dzieło, przeczytajmy je starannie i miejmy nadzieję, że po upłynięciu 70 lat od zamknięcia tej pięknej karty oświaty polskiej będą kontynuowane badania nad szkołami junaków i młodszych ochotniczek. Trzeba koniecznie dołożyć starań, by trwale upamiętnić pokolenie „młodzieży Andersa”.

Fotografie pochodzą z książki „Młodzież Andersa”.

Posłowie prof. Adama Dobrońskiego do książki Henry Radeckiego „Młodzież Andersa. Wojskowe Szkoły Junaków 1941-1947”.